

B E M

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

32

W łonie stolicy Królestwa w ciągu dni rozpraw na błoniach pod Bolimowem — zaszyły niepojęte, niewytłómaczone zmiany. Zmiany, których nawet wezwani do Warszawy członkowie Rządu i komisarze sejmowi nie mogli ogarnąć.

Nikom nie było tajno i oddawna, że Klub patryotyczny burzy ludność, że i Zaliwski i Mochnecki i Czyński i Lelewel sam pracują nad zachwianiem powagi Rządu, nad odtworzeniem krwawych dni francuskiego konwentu. I sejm i rząd i muni-cypalność i wszystkie ogniwa władzy znały na palcach burzycieli, demagogów, opętanych ideowców, mściwych pyszałków, wicherzycieli i agitatorów. Rozumiano się u steru i na niechęci u Skrzyneckiego, i na niezadowoleniu, że sąd na zdrajców nie dość szybko się rozprawia i na tem wszelkiem przeczu- leniu, niepokoju, gorączce, która płynęła z grasują- cą cholery i z niepowodzenia oręża polskiego i z trwogi o rodzone i ze zbliżania się nieprzy- jaciela!

Rozumiano się znakomicie i baczono na lada objaw złowrogi.

Z początku członkowie Rządu tuszyli sobie, że sam powrót ich do stolicy uciszy wrzenie, zwłaszcza że dla ludu warszawskiego mieli wspaniały raport z deputacyi do Bolimowa, mieli Dembińskiego, mieli niesłychanie doniosłą zmianę konstytucyi, bo pod- danie wodza rozkazom Rządu, no i tuzin konceptów na odwołanie się do obywatelskiego ducha szlache- tnych mieszkańców. Lecz że te, dotąd niezawodne środki nie zdawały się od razu skutkować, więc nie zaniechano wzmocnienia posterunków gwardyi, po- mnożenia patrolów, wart i gubernatorskiej czuj- ności.

Aliści Warszawa odpowiedziała na te zarządze- nia jeno głośniejszem szemraniem. Klub patryoty- czny do otwartego nawoływał buntu. Pisemka, pam- flety, plakaty na rogach ulic wróżyły niechybną śmierć zdrajcom i kunktatorom. W koszarach sej- mikowano niby u Honoratki.

Rząd zebrał się na nieustające obrady...

Warszawa drżała w posadach, hukiem podziem- nym zwiastowała nadchodzącą godzinę wybuchu — a pałac Radziwiłłowski precz się zastanawiał, jako należy sobie począć i nie poczynąć nic zgoła. Lecz że chwila była groźna, więc członkowie Rządu ra- dzili dalej, bez przerwy, dzień i noc, dwa dni z rzędu i trzeciego dnia jeszcze trwali dla dobra ojczyzny w fotelach sesyjnej sali — choć był to dzień świąteczny, dzień Wniebowzięcia!...

Nie było zgody w Rządzie. Dawne przymierza oligarchów znikły. Pięć ciągle było zdań. Morze słów wylewano o potrzebie wdrożenia uszanowania dla władzy, o silnem ramieniu, o rozpaczliwych ter- minach, o zewie ludu, o tem gdzie, kiedy i jak która rewolucja, która rzeczpospolita, które pań- stwo w podobnych terminach bywało i jak się z nich dobyć mogło lub dobyło...

A równocześnie każdy z pięciu członków innych wyglądał zbawczo, każdy z nich radził a nadśluchi- wał, czyli upragniony nie nadejdzie odzew.

Czartoryski, przygnębiony austriackim komuni- katem, żywił nadzieję, że rozważa najdzie i Dem- bińskiego i Paskiewicza, że rokowania dowódców nawiążą nici rozejmu a kongres mocarstw dokona, co należy, no i że juści pierwsza wiadomość o parla- mentarzach ukoi stolicę; Niemojowski wierzył w Pra- dzyńskiego i Sejmu powagę; Morawski sądził, że wogóle wrzenie trzeba pozostawić wrzeniu; Barzy- kowski czekał na armaty Dembińskiego; Lelewel miał w zanadrzu listę skazanych na śmierć przez przyszły rewolucyjny komitet... listę, którą rozpo- czynał Czartoryski!

Tymczasem ranek dnia 15 sierpnia zdawał się zapowiadać niewątpliwie zbawczy wpływ trwającej pracy Rządu.

Warszawa, jak zwykle, dzień świąteczny rozpo- częła od wędrówki do świątyń, od spaceru po na- bożeństwie, od rozkoszowania się zielenią, słońcem przepojonych ogrodów.

Po cukierniach, gospodach było tyle gwaru, jak przystało na dzień świąteczny. Ludek kupił się na placach i rynkach, zbijał w gromadki, rozprawiał według zwyczaju, według zwyczaju najgłośniej do- wodzili oficerowie, co do żadnego nie należeli pułku. Zresztą i cisza i ład i swywola nawet. Wybierano się na „Fra Diavola“, recytowano sobie ostatnie

„Miotelki“, bajdurzono o kozakach i czytano prokla- macye patryotyczne, jak od miesięcy, jak co dnia.

Ledwie popołudniu na gubernatorstwie, na poli- cyi nieco się stropiono. Bo oto ktoś nietylko doniósł, że generał Dembiński wraca z całym wojskiem do Warszawy, ale że wraca na dokonanie 18 *brumaire'a*, czyli że armaty na ulicach zaciągnie, Klub powywie- sza a krnąbrny ludek kartaczami mores nauczy.

Zafrasował się imć pan Węgierski, co teraz generał gubernatorską władzę sprawował i dał znać do Radziwiłłowskiego pałacu. Pałac Radziwiłłowski zaciągnął tę, wymagającą sprostowania pogłoskę, na porządek dzienny i radził dalej. Pogłoska zaś szła, obiegała miasto...

Pułkownik Bem tego samego dnia, już przed zmierzchem, wybrał się na miasto i to zgola uro- czyście, bo w odświętnym wicemundurze i nowych epoletach. Ta niezwykła staranność pułkownika z kilku wynikała powodów. Najpierw, że po tygodniu roz- terki, przygnębienia przyszło nań ucieszenie, podda- nie — zjawilo się tem łatwiej, iż nazajutrz po odwie- dzinach Krukowieckiego przyszedł odzew ze sztabu. Odzew ten nie zwiastował mu jeszcze dowództwa, nie wracał mu baterii, powoływał do komisji obrony stolicy tylko, ale zawsze był dokumentem, że bez- czynność się dlań kończy, że przecież a wspomniano nań. Bem daleki był od zakładania na tym odze- wie jakichś spodziewań. Nie widział ich, nie widział żadnych.

Drugim a raczej stanowczym powodem, dla któ- rego pułkownik aż odświętny przyodziął uniform, był Krukowiecki. Ex-gubernator tego dnia, od świtu prawie, atakował go ordynansami, gwałtując o przy- bycie doń na niezmiernie ważną naradę. Bem przez wzgląd na wiek i zasługi generała, przyrzekł stawić się wieczorem. A że dzień był dokuczliwie parny, więc wybrał się wcześniej, aby po drodze wytchnąć nieco w Saskim ogrodzie.

Ale parny, duszny dzień sierpniowy zdawał się czyhać na piękny strój pułkownika. Bo oto zaledwie Bem wszedł na Senatorską ulicę, wielkie krople dżdżu posypały się i pociągnęły za sobą całe upusty. Ulewa bluznęła potokami wody.

Pułkownik, rad nie rad, musiał zrejterować do cukierni Chorota i tu przycupnąć w kątku przy kuchni i cieszyć się, iż tak gładko udało mu się wykryć wolny stółek, fajkę i kubek zimnego pon- czu. W ślad za pułkownikiem bowiem do wypeł- nionej po brzegi cukierni jęła płynąć fala szukają- cych schronienia przed deszczem. Zgiełk, tumult i wrzawa zapanowała piekielna.

Bem spowił się kłębami dymu i zerknął flegma- tycznie ku oknu, na bębniące i pryskające po szy- bach krople.

Dokoła niego tumult rósł, sypał oderwanymi okrzykami, rozpadał się na części zwarte, to znów łączył w zgodny wrzask — pułkownik nie zważał. Nawet wyraża takie, jak — „szubienica“ — „precz z Rządem!“ — „Pułaskiego nam trzeba“ — „nie dajmy się wymordować!“ — nie zdołał uwagi Bema zaostriżyć. Tyle się razy nasłuchiwał podobnych, tak z nimi otrząsał, że cukierni, kawiarni nie mógłby sobie bez nich wyobrazić. Tak przecież trwało od nocy listopadowej, dlaczegoż miało być dziś wła- śnie inaczej...

Najdokuczliwszem zdało się Bemowi, że pluta nie ustawała, że zamiast ogrodowego tchnienia mu- siał trwać w dymie i dusznych wyziewach. Bo zresztą najmniej turbował się o wizytę u Krukowie- ckiego. Przeciwnie, będzie miał grzeczny pozór. Ex- gubernatorowi rewolucja nowa chodzi po głowie, walka z Rządem, sejmem, całym światem! Złość go zalewa, dręczy, unosi, desperackie nieci pomysły! Demagodzy podbijają generałowi bębenka! Pogra- żony korab chcą ratować gwałtownem targnięciem, gdy póty korabia dłużej na powierzchni, póki jedno- ści, wewnętrznego spokoju! Szkoda Krukowieckiego, szkoda czeka. Nominację Dembińskiego ma sobie za nowy kamień krzywdy! Pewnie, bardziej nale- żało się dowództwo Krukowieckiemu... a najbardziej należało się temu, który sam, bez oglądania się na wpływy, intrygi, rangi umiałby nim sam zostać...

Złote światelka zapalonych pajaków zaświdro- wały natrętnie w żrenicach pułkownika. Bem poru- szył się. Tuż przed nim zarysowała się wątla, szara sylwetka ulicznika i mignęła mu białym świstkiem papieru.

— Afisz „Fra Diavola“, wielkie przedstawienie ze śpiewami narodowymi! Czartoryski ze Skrzyne- ckim na jednej szubienicy! Za pięć groszy!

Pułkownik spojrzał machinalnie ku świstkowi i otrząsnął się gniewnie — afisz teatralny zdobyło dwóch, łatwych do rozeznania wisielców...

— Do teatru obywateli! — zagrzmiała tuż cu- kiernia. — Tam zbierają się patryoci! — Komu ojczy- zna miła, ten do teatru! Naprzód! — Do teatru!...

Tłum w cukierni zakolysał się i porwał z poza stołów.

Bem poglądał na cisnących się do wyjścia ludzi i tarł niespokojnie czoło. Boć chyba nie zrozumiał, chyba z duszności w głowie mu się zakręciło.

Naraz z rogu cukierni, z pośród dymu wyłoniła się ku pułkownikowi szeroka, rozczzerwieniona twarz majora Boskiego.

— Tak, obywatele — dowodził major ochryplym głosem — Rząd zdrajców osłania! Deputacyę ludu kłamstwami zbył! Do Redutowych, na teatr, za siekiery brać, na postronki! Książd Pułaski pro- wadzi! Z nami gwardya! — Do dzieła! Godzina sprawiedliwości wybiła! Za mną, obywatele!

Wiew świeżego powietrza, który poprzez roz- warte na ścieżaj drzwi wpadł do opustoszałej nagle cukierni, orzeźwił pułkownika. Bem podniósł się i zmierzał ku wyjściu, gdy tuż z ponad stolika bo- cznego dźwignął się ku niemu mundur artylerii konnej.

Bem spojrzał i uśmiechnął się przyjaźnie, roze- znawszy podporucznika Ilińskiego.

— Waćpan przed deszczem...

— Nie, pułkowniku, jeno przedostać się nie mogę na Królewską do matki... Trzy razy usiłowa- lem...

— Jakże to... czy ulewa?

— Mrowie ludu zalega pałac Radziwiłłowski a drugie mrowie przed Redutowemi salami nie daje przejścia!

— Coraz więcej rozpasania motłochu.

— Aż strach bierze ogarnąć, co się dzieje...

— Mój podporuczniku, toć prawie codzienny widok! Rwie się wszystko, kruszy nie od dziś!...

— Lecz przed pałacem pięściami Rządowi wy- grażali! Na własne oczy widziałem. Jakiś mieszcuch, mówili Brawacki, na lwa kamiennego się wdrapał i wyroki śmierci odczytywał, podczas gdy cała de- putacya klubistów z Rządem wprost się wodziła! Podobno książd Pułaski dyktatorem będzie!

— Co waćpan! Toć banialuki krzykackie! I śła- mazarstwo gubernatora! Szwadronu, jednej kompanii gwardyi brak! Rezolucyi brak!

— Gwardya, pułkowniku, uciekła z przed pałacu!

— Chyba podporucznik dworujesz sobie!

— Uciekła, między tłum poszła i z nim stawała za jedno. Generał Węgierski wzywał, zaklinał, kazał bębnić na zbor — daremnie.

Bem zatoczył się, jak pijany, ku wyjściu z cu- kierni i oparł o framugę drzwi. Iliński postąpił za pułkownikiem.

Ulica tonęła w mrokach ponurej nocy. Z obsi- akających dachów chlupotały resztki wody w kałuże pod zrębami domów. Srodkiem ulicy sunęły jakieś gromady ciemne, nawołujące się wrzaskliwie.

— Mają dzisiaj mordować! — ozwał się po prze- stanku Iliński. — Lęk zdejmuję pomyśleć. Przy matce mej drobne rodzeństwo i troje starych sług — jeżeli rabunek pójdzie... A wszystkiego można się spodzie- wać! Podobno wojsko nadciąga — ale czy zdąży, panie pułkowniku, czy zdąży?

Bem głowę pochylił i zagadnął raptownie:

— Czy Orlikowski nocuje w koszarach?

— Nie, kapitan na te dwa dni świąt wyjechał pod Wierzbno. Jabłonowski trzyma komendę za wia- domością sztabu brygady...

— A obsługa?

— Zwyczajnie połowa, bodaj mniejsza część pełni służbę. Na apel niejeden nie wrócił. Kapitan wyrzeka słusznie. Warszawa pod boki, ciągnie żołnierzy, dezercya. Z tego postoju więcej zbytku niż po naj- sroźszej potrzebie...

— Na cztery armaty wystarczy?

— Obsługi? — niezawodnie.

Bem dał znak Ilińskiemu, aby szedł za nim. Podporucznik ruszył bez wahania.

Pułkownik jakby ważył coś, jakby zastana- wiał się.

— Iliński — mruknął przez zęby — czy aby waćpan nie nadto dałeś się uwieść wrażeniom?

— Wrażeniom?

— Hm — w najlepszej wierze! — Rząd musiał się zabezpieczyć. No tak, nahałasowali mu przed pałacem. I nie pierwszy raz! Ale trudno na zdespe- rowany lud z bagnietami iść!...

Podporucznik stracił rezon.

— Mnie się nie wydaje! — ciągnął Bem. — Prawda, licho wiem, co się dzieje. Miałem plany, na krok się nie ruszałem. I Bogu dzięki. Bo tu chyba gorączki można się dopytać.

W głębi ulicy Miodowej zerwał się przeciągły poszmer.

— Idą! — szepnął Iliński.

— Kto — dokąd?! Troi się waćpanu! I dali- pan ciemno, że światu nie widać! Latarnicy snąc także deliberują dziś nad ojczyzną! Zbierz acan